

Na ulicach nędzy. Rozmowa z Łukaszem Adamskim

„Ulice nędzy” to film, który zdefiniował, czym jest kino Martina Scorsese. Zawsze podkreślał, że dorastając w Małej Italii mógł zostać albo księdzem, albo gangsterem. Te „profesje” trzęsły całą dzielnicą. Ostatecznie został filmowcem, ale nie zapomniał o swoich korzeniach – mówi Łukasz Adamski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Scorsese. Filozoficzne niepokoje z Manhattanu”.

Mikołaj Rajkowski: Nie potwierdziły się doniesienia, że Martin Scorsese planuje przejść na emeryturę po „Irlandczyku”. W 2023 roku zobaczymy kolejny jego film, „The Killing of the Flower Moon”. Pod względem anturażu ma to być western. To chyba pierwszy w jego dorobku? To ciekawe, że przy swojej dobrze znanej miłości do amerykańskiego kina gatunkowego nigdy nie wykorzystał scenerii Dzikiego Zachodu...

Łukasz Adamski: Cóż, Oklahoma lat 20. XX wieku to nie jest już do końca Dzikie Zachód, a sam film to raczej kryminał niż western. Scorsese jest zresztą reżyserem, który robi kino bardzo autorskie, którego nie interesuje za bardzo zabawa z gatunkami. Nie nakręcił też filmu science-fiction czy horroru – elementów tego ostatniego można się dopatrzeć w „Wyspie tajemnic”, ale i ten film jest po prostu, i przede wszystkim, filmem Martina Scorsese.

„Film Scorsese” jako gatunek na własnych prawach?

Jego filmy można rozpoznać po kilku kadrach, kilku ujęciach. To różni go od, na przykład, Stevena Spielberga. Spielberg jest znakomitym reżyserem, ale trudno doszukać się w jego filmach tego autorskiego piętna, co sam zresztą przyznaje i twierdzi, że uważa się za rzemieślnika. Sposób, w jaki Scorsese opowiada historię, jest niepowtarzalny i charakterystyczny. Jestem pewien, że jego kolejny film będzie właśnie taki.

Wczesna twórczość Martina Scorsese przypada na okres swoistej rewolucji w Hollywood...

Tak, był on jednym z reżyserów, którzy tworzyli nową falę amerykańskiego kina lat siedemdziesiątych. Trzeba wymienić inne nazwiska, jak Francis Ford Coppola, George Lucas, Steven Spielberg, William Friedkin, John Cassavetes, Woody Allen i wielu innych. To była grupa – oczywiście nieformalna – która zmieniła sposób realizacji filmu w Hollywood, zerwała z formatem studyjnym. Jak na ironię, ta rewolucja skończyła się już w drugiej połowie tej dekady, kiedy pojawiły się pierwsze blockbustery: „Gwiezdne wojny” i „Szczęki”, czyli filmy... Lucasa i Spielberga.

Na czym w takim razie polega autorskie piętno Scorsese? Czy to kwestia stylu, tematycznych dominant?

W 1973 roku Martin Scorsese nakręcił „Ulice nędzy”, film dotyczący tematów włoskiej mafii i religijności. Tym filmem Scorsese ugruntował swój styl, swój sposób opowiadania. Wykorzystał muzykę rockową, utwory Rolling Stonesów – a pamiętajmy, że Scorsese był również jednym z montażystów słynnego filmu o Woodstock z 1969 r. W jednej z głównych ról występuje

Robert De Niro, którego wielka kariera dopiero się rozpoczynała – i która zresztą jest ściśle związana z nazwiskiem Martina Scorsese. W nadchodzącym „The Killing of the Flower Moon” De Niro zobaczymy obok Leonardo Di Caprio. Zmierzam do tego, że „Ulice nędzy” to film, który zdefiniował, czym jest kino Martina Scorsese. On zawsze podkreślał, że dorastając w Małej Italii mógł zostać albo księdzem, albo gangsterem. Te „profesje” trzęsły całą dzielnicą. Ostatecznie został filmowcem, ale nie zapomniał o swoich korzeniach. Już w „Ulicach nędzy” pojawiają się tematy wiary i przemocy, grzechu i odkupienia, które powracają w większości jego filmów, a szczególnie w tych, które powstały we współpracy z Paulem Schraderem.

Jak Scorsese łączy te dwa tematy, wiarę i przemoc? Gangsterów widzimy w jego filmach częściej niż księży...

Tak, bo w świecie „Ulic nędzy” odkupienia nie da się znaleźć w kościele przez odmawianie zdrowasiek. Odkupienie uzyskuje się na ulicy. Postać grana w tym filmie przez Harveya Keitela poszukuje odkupienia, opiekując się „Johnny Boyem”, granym przez Roberta De Niro. Tak samo Travis Bickle – znów De Niro – czyli bohater „Taksówkarza”, do którego scenariusz napisał wspomniany już Paul Schrader. Bickle to weteran z Wietnamu, który wraca do Stanów i kompletnie nie może odnaleźć się na ulicach Nowego Jorku. Tylko pamiętajmy, że to nie jest dzisiejszy Nowy Jork, który zwiedzamy na wycieczce, tylko Nowy Jork przed reformami Rudy'ego Giulianiego, współczesna Sodomia i Gomora, w którym Times Square okupują alfonsi, prostytutki, tanie burdele, no i gangsterzy. W takim miejscu pojawia się Travis Bickle, który chce odkupić swoje winy, ocalając najbardziej czystą istotę, czyli dziecko, w którą wciela się dwunastoletnia Jodie Foster. Harvey Keitel z kolei, który w „Ulicach nędzy” starał się uratować bohatera granego przez Roberta De Niro, tu wciela się w postać alfonsa i pedofila. „Taksówkarz” to film w

duchu starotestamentowym: oto pojawia się karząca ręka Boga, która zmyje brud z ulic nędzy. Zemsta i oczyszczenie. Idźmy dalej – swojego odkupienia szuka we „Wściekłym byku” Jake LaMotta, również Włoch z Małej Italii.

To znów De Niro. Dochodzimy do lat osiemdziesiątych...

Te filmy, które kręci po „Wściekłym byku” to mniej znany okres jego kariery, czasem uważany za słabszy – ale ja bardzo lubię zarówno „Króla komedii”, jak i „Po godzinach” czy „Kolor pieniędzy”, film z Paulem Newmanem i Tomem Cruise’em, druga część „Bilardzisty”. Przełomowy jest rok 1988, kiedy z Paulem Schraderem zabiera się za adaptację powieści Nikosa Kazandzakisa „Ostatnie kuszenie Chrystusa”. Książki, która do dzisiaj przez wiele środowisk chrześcijańskich czy katolickich jest wyklęta, moim zdaniem niesłusznie. Film zostaje uznany przez radykalne środowiska prawicowe w Stanach Zjednoczonych za heretycki i bluźnierczy, dochodzi do dewastacji kin, rozpalenia gazu łzawiącego podczas seansów. Scorsese jest w tak wielkim szoku, że zaraz zrywa na jakiś czas z Kościołem katolickim, poszukuje swojej duchowej drogi w buddyźmie, kręci „Kundun”, czyli biografię Dalajlamy. Zaraz po tym kręci jednak film, w którym wraca do korzeni. W 1999 roku, znów we współpracy z Paulem Schraderem, realizuje „Ciemną stronę miasta”. Nicholas Cage gra w nim pielęgniarza i kierowcę ambulansu imieniem Frank, co jest zresztą nawiązaniem do św. Franciszka. Ten film naznaczony jest bardzo mocno wątkiem religijnym, aspekt poszukiwania odkupienia jest w nim bardzo istotny.

Kwestia odkupienia wiąże się z kwestią winy, którą Scorsese też ujmuje bardzo po katolicku. Czy to jest coś, co wyróżnia Scorsese we współczesnym kinie? To jednak zupełnie inne podejście niż na przykład u Tarantino.

Oczywiście, ale Tarantino jest postmodernistą, bawi się kinem, nie ma w tym ani na jotę duchowości...

Ale jest mimo wszystko jakaś filozofia.

Rzeczywiście. Jego ostatni film, zresztą moim zdaniem najlepszy, czyli „Pewnego razu w Hollywood” pokazuje pewne zniesmaczenie w jaką stronę poszedł w świat, chęć powrotu do roku 1969 i unieważnienie tego, co się później stało. Ale robi to w typowym dla siebie stylu. Tymczasem Scorsese w 2016 roku kręci „Milczenie”, film o jezuickich misjonarzach w Japonii, o męczeństwie. Jaka była wymowa tego filmu? Scorsese zdaje się mówić, że nawet jeżeli kolaborujesz z antykatolickim, antychrześcijańskim reżimem, dopóki cały czas masz w sercu krzyż, jesteś usprawiedliwiony przed Bogiem. Martin Scorsese mówi nam „Milczeniem”: ja przez lata kolaborowałem, byłem zanurzony w grzechu. Byłem uzależniony od narkotyków, alkoholu, rozbijałem rodziny, ale cały czas miałem w sercu Chrystusa.

Samousprawiedliwienie?

Były głosy krytyczne, także w Polsce, którym takie postawienie sprawy bardzo się nie spodobało. Ale taki jest Scorsese. To samo widzimy w ostatniej scenie „Irlandczyka”, kiedy Robert De Niro umiera w szpitalu, w półcieniu pojawia się krzyż.

Scorsese nie jest jednak moralistą? Bywa wręcz oskarżany o gloryfikowanie przemocy, gangsterskiego stylu życia...

Oczywiście, nie ma w tych filmach moralizowania. Najlepszym przykładem jest „Wilk z Wall Street”, film absolutnie amoralny, o zdegenerowanym etycznie facecie, który ostatecznie odnosi sukces. Martin Scorsese w ogóle kojarzy się przede wszystkim z kinem gangsterskim: nie mówiliśmy jeszcze o filmach takich jak „Chłopcy z Ferajny”, „Kasyno” czy „Gangi Nowego Jorku”, a także o „Zakazanym imperium”, serialu HBO, którego był showrunnerem, o gangsterach w Atlantic City. Scorsese jest też potomkiem włoskich imigrantów, ma włoskość we krwi, a włoskość to katolicyzm. I jego gangsterzy też mają krzyże na piersi. To wszystko jest bardzo złożone i wielowymiarowe.

Obok wspomnianego „Zakazanego imperium” Scorsese współpracował z HBO przy serialu „Vinyl”, który był swoistym podsumowaniem jego długoletniej fascynacji kontrkulturą lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Pozostał jej wierny przez całe życie, ważną częścią jego twórczości są koncerty i dokumenty poświęcone Bobowi Dylanowi, Rolling Stonesom i innym bohaterom kontrkultury. Czy to tylko wyraz fascynacji muzyką, czy znacząca część autorskiej osobowości?

Scorsese jest nieodłączny od muzyki, tak jak nieodłączny jest od Nowego Jorku. Kręci filmy o Bobie Dylanie, w tym „No Direction Home”, nagrywa koncert Rolling Stonesów, jeszcze w latach 70. kręci „Ostatni Walc” o kanadyjskiej grupie rockowej The Band. Tworzy też serial o Fran Lebowitz, prawdziwej ikonie Nowego Jorku, która zresztą zagrała w „Wilku z Wall Street”, ikonie Nowego Jorku. Produkuje miniserial „Historia bluesa”, tworzy teledysk do „Bad” Michaela Jacksona... To i tak jeszcze nie wszystko. Tak, to jest bardzo ważna część jego tożsamości, widać to zresztą w jego filmach fabularnych, o czym wspominałem już przy okazji „Ulic nędzy”. Uwielbiam ścieżki dźwiękowe w jego filmach, pokazują, jakie ma ucho i jak ważna jest

dla niego muzyka, która go ukształtowała. A jaki film kręci zaraz po „Taksówkarzu”? Zamiast iść dalej w totalny mrok, który przyniósł mu przecież Złotą Palmę, on robi musical z Lisą Minelli – „New York, New York”. Warto pamiętać także i o tym aspekcie jego twórczości.